



**WOJCIECH  
CHMIELARZ**  
TAM, GDZIE ZMROK  
ZAPADA SZYBCIEJ

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Wojciech Chmielarz

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

## Część 1

W tym mieście noc zawsze zapadała odrobinę szybciej i trwała odrobinę dłużej. Stali mieszkańcy do tego przywykli i ledwo, jeśli w ogóle, to zjawisko zauważali. Nieliczni przyjezdni przez pierwsze dni pobytu, nawet latem, kiedy przecież dni są długie, a zachód słońca ciągnie się godzinami, czuli się nieswojo. Nie potrafili jednak wyjaśnić dlaczego. Zachowywali się tak, jakby zauważyli na suficie pęknięcie. Niegroźne i niewielkie, ale kiedy człowiek mu się przypatruje, nie jest w stanie przestać myśleć o katastrofie budowlanej. Starali się zagłuszyć te myśli albo kolejnymi odcinkami serialu, albo piwem gdzieś w barze na mieście. A to jeden z tych głęboko zakorzenionych pierwotnych instynktów wysyłał im sygnały alarmowe, tyle że oni, zanurzeni w cywilizowanym życiu, stracili umiejętność ich interpretacji. Ale ta gadzia część umysłu wiedziała, że w tym miasteczku wszystkie zasady i reguły, które rządzą światem, zapewniając mu porządek, a im – bezpieczeństwo, przestają z jakiegoś powodu obowiązywać.

Zjawisko szybciej zapadającego zmierzchu tłumaczyła lokalizacja Paśla. Rozłożyło się ono w miejscu przecięcia dwóch górskich dolin, które tworzyły w ten sposób coś na kształt litery X. Ze wszystkich stron miasteczko otaczały strome zbocza wzgórz, w większości wciąż porośnięte gęstym świerkowym borem. To właśnie te wzniesienia odcinały mieszkańców od promieni słonecznych i szybciej pogrążały ich w gęstym mroku nocy.

Przez wieki położenie Paśla zapewniało mu spokój i bezpieczeństwo. Znajdowało się na uboczu, z dala od szlaków handlowych,

a także od dziejowych nawałnic, które omijały miejscowość szerokim łukiem. Tylko z rzadka pojawiał się tutaj wrogi zagon – Kozaków, Szwedów, Tatarów albo nawet zwykłych zbójców, ale jego członkowie byli zazwyczaj zbyt zmęczeni, żeby zająć się płądrowaniem. Włóczyli się jedynie po okolicy, czasami kogoś usiekli, a potem znikali tak nagle i niespodziewanie, jak się pojawili. Tutaj historia była czymś, o czym słyszało się od podróżnych, ale co zdarzało się gdzieś indziej.

Zmieniło się to w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, kiedy pojawiło się tu trzech mężczyzn. Wszyscy zarośnięci i milczący, niechętnie bratający się z miejscowymi. Wynajęli jedyny dobry pokój w jedynej gospodzie w okolicy. Wydawało się jednak, że niewiele z niego korzystają. Całe dni i większość nocy spędzali, włóczęc się po górach z tajemniczymi przyrządami i wielkimi płachtami szczegółowych jak na tamte czasy map. Po jednej z takich wypraw wrócili wyjątkowo podekscytowani. Kupili zapas wódki i grube pęta lokalnej kiełbasy, zamknęli się w swoim pokoju, a potem pili, śpiewali i grali na gitarze, a nawet tańczyli. Nad ranem zniknęli, pozostawiając w pokoju pieniądze za wynajem ze sporym naddatkiem.

Wrócili po czterech miesiącach. Ubrani już w garnitury i lśniące czystością buty. W towarzystwie licznych robotników – cieśli, mechaników, górników, inżynierów, geologów, geodetów i zwykłych pracowników fizycznych. W teczkach zaś przynieśli akty własności okolicznych działek, które do tej pory były użytkowane według miejscowego zwyczaju – nikt nie widział potrzeby, żeby zastrzec ich posiadanie w urzędowy sposób. Nagle okazało się, że ta ziemia, na której ludzie pracowali od lat, a ich przodkowie od pokoleń, należy do spółki z siedzibą we Lwowie, o której nigdy wcześniej nie słyszeli. Właśnie w ten sposób mieszkańcy dowiedzieli się, że w okolicy odkryto złoża ropy.

Rozpoczął się pierwszy złoty okres w historii miasteczka. Do budowanych w zaskakującym tempie szybów naftowych ściągnęli robotnicy z całego kraju. Liczba mieszkańców szybko powiększyła

się kilkukrotnie. Drewniane chałupy zaczęły ustępować murowanym. Podciągnięto linię kolejową, zbudowano piękny dworzec. Wtedy też powstały do dzisiaj cieszące oczy turystów secesyjne kamienice, hala targowa (w której nie tylko handlowano, ale rozgrywano także mecze bokserskie), teatr, a nawet kino. Miasteczko rozrosło się i wypiękniało.

Ropa jednak o mało co nie doprowadziła do zagłady miejscowości. Podczas jednego z pośpiesznie prowadzonych odwiertów – akcjonariusze naciskali bowiem na zwiększenie produkcji, a więc i zysków – doszło do potężnej eksplozji. Zginęło wtedy osiem osób. Gorszy był jednak pożar, który nastąpił później. Wybuch miał miejsce podczas suchych i upalnych letnich tygodni. Ogień natychmiast się rozszalał. Ruszył chciwą burzą płomieni prosto w stronę robotniczych osiedli skleconych z drewnianych szop, a potem w stronę miasteczka, które w tym okresie także składało się głównie z drewnianych chat. Pomimo wysiłku mieszkańców zginęło ponad pięćdziesiąt osób, w tym aż dwanaścioro dzieci. Podeszły blisko pożaru, żeby przypatrzeć się płomieniom, i nawet nie zauważyły, kiedy otoczył je ogień. Na ucieczkę było za późno, a dorośli nie byli w stanie im pomóc. Od całkowitej zagłady uratowała miasteczko zmiana pogody. Najpierw wiatr zaczął wiać w inną stronę, a potem przyszła od dawna wyczekiwana burza.

Zniszczone części miasta szybko odbudowano. Tym razem powstawały budynki solidniejsze, kamienne lub ceglane. Wytyczono również szerokie ulice. Powołano także pierwsze zawodowe straże ogniowe.

Po kilku latach takiego boomu okazało się jednak, że złoża ropy naftowej wcale nie są tak bogate, jak początkowo się wydawało. Wiele szybów zamknięto. Robotnicy wyjechali w poszukiwaniu pracy, zostawiając za sobą tylko puste place po chaotycznie budowanych obozowiskach, wspomnienia brutalnych bijatyk i sporo nieślubnych dzieci, które nigdy nie poznały swoich ojców.

Ropy zostało jednak tyle, że eksploatowano ją przez całą pierwszą połowę dwudziestego wieku. Z jej powodu podczas II wojny światowej w miasteczku utrzymywano zaskakująco silny garnizon niemiecki, Niemcy zaś zachowywali się zaskakująco cywilizowanie. Nie zdarzały się tu takie dramaty, jakie zafundował Walter Gentz Jasłu czy Franz Schmidt Jarosławowi. Prawdopodobnie dlatego, że Niemcy wiedzieli, iż wydobycie ropy zależało od pracy wykwalifikowanej miejscowej siły roboczej. O tę należało więc dbać. Oczywiście nie dotyczyło to miejscowych Żydów, których już na początku okupacji wywieziono do gett, gdzie mieli prowadzić spokojne i wygodne życie. W rzeczywistości zaś trafili od razu do obozów zagłady w Bełżcu i Sobiborze. Przed wojną stanowili ponad czterdzieści procent mieszkańców. Po wojnie wszyscy zachowywali się tak, jakby nigdy ich nie było.

Niemcom natomiast miasteczko i okolice zawdzięczały spokój w 1943 i 1944 roku. Ludzie ze strachem i niedowierzaniem wysłuchiwali opowieści o bestialskich masakrach polskiej ludności, jakiej dokonywali ukraińscy partyzanci. Ci jednak omijali osiedla, które znajdowały się pod opieką żołnierzy III Rzeszy. Pamięć o tych wydarzeniach, a nawet pewna wdzięczność, wciąż była do tego stopnia żywa, że kilka lat temu pewien miejski radny chciał nazwać jedną z ulic imieniem niemieckiego komendanta Egona Bauera. Pomysł został skutecznie oprotestowany, kiedy przypomniano, że oficer może i powstrzymał ukraińskich partyzantów, ale sam miał na koncie kilka krwawych pacyfikacji i brał aktywny udział w zagładzie miejscowych Żydów. Ta inicjatywa sprawiła jednak, że po latach nazwa miasteczka znów na kilka dni trafiła na pierwsze strony gazet i czołówki portali internetowych, wywołując spore oburzenie.

Wydobycie ropy zakończono w latach pięćdziesiątych. Zabrano się wtedy do eksploatacji kolejnego dobrodziejstwa okolicy – lasów. Wykorzystano do tego tartaki, które produkowały deski do szybów naftowych. Postawiono również zakład przeróbki celulozy, a nawet fabrykę mebli.

Rozpoczął się drugi złoty okres w życiu miasteczka. W jego rozwój zainwestowano sporo pieniędzy. Wybudowano nowe drogi, szpital, przychodnię, osiedla, szkołę, a nawet stadion. Zadbano o elektryfikację. Podciągnięto wodociągi. Robotnicy znowu zaczęli zjeżdżać z całej Polski, chociaż nie w takiej liczbie, jak podczas naftowego boomu.

Oczywiście był to rozwój na miarę socjalistycznego kraju – drogi często nie dawały rady przetrwać pierwszych jesiennych ulew i srogiej zimy, a nowo postawione bloki miały wszystkie wady ówczesnego budownictwa. Oczywiście wiązały się z tym także tragedie. W latach siedemdziesiątych doszło do tragicznego wypadku, kiedy autobus PKS-u zsunął się ze zbocza Wichrówki, jednej z gór, które otaczały miasteczko, a która swoją nazwę wzięła od hulającego tam wiatru. Katastrofa wydarzyła się w marcu, przy okazji odwilży, kiedy śnieg jeszcze leżał, ale ze zboczy spływały już strumienie wody, a ziemia na Wichrówce zrobiła się miękka jak bagno. Autobusem podróżowali zbierani z okolicznych wsi mężczyźni, którzy jechali na poranną zmianę w tartaku. Na zakręcie kiepsko zbudowana i nieutwardzona odpowiednio droga nie wytrzymała obciążenia. Nagle potężny kawał jezdni po prostu zsunął się jak tafla lodu, a razem z nim autobus. Prawdopodobnie do tragedii by nie doszło, gdyby wcześniej w tym lesie nie wycięto drzew i nie pozostawiono gołego zbocza. Nie było niczego, na czym pojazd mógłby się zatrzymać. Po pierwszych nierównościach zaczął koziółkować i spadł z prawie siedemdziesięciu metrów. Zginęło wtedy czterdziestu sześciu mężczyzn. W większości mieli żony i dzieci. Niektóre rodziny, pozbawione jedyne go żywiciela, nagle musiały radzić sobie same.

Śledztwo w tej sprawie się ślimaczyło. Wreszcie zatrzymano jakiegoś pomniejszego inżyniera, postawiono go przed sądem w Sanku i skazano na niewielką karę w zawieszeniu za niedopełnienie obowiązku. Sąd w uzasadnieniu wyroku wskazywał jednak, że za wypadek głównie odpowiedzialne były „nie do przewidzenia warun-

ki pogodowe”. Jakby odwilż w tej okolicy nie zdarzała się co roku. Mieszkańcy miasteczka plotkowali, że tak naprawdę przyczyną wypadku były kradzieże materiałów, które posłużyły do budowy dróg dojazdowych do posesji lokalnych partyjnych notabli.

Niemniej te lata należy uznać za ogromny skok rozwojowy.

Drugi złoty okres zakończył kryzys lat osiemdziesiątych, a ostateczny cios zadały reformy Balcerowicza. Zamknięto miejscowe zakłady. Stopa bezrobocia wystrzeliła do czterdziestu procent. Stadion, który jeszcze niedawno był dumą miasteczka, zamienił się w ruinę. Przestały jeździć pociągi, a tory oraz trakcję rozkradziono i sprzedano na złom. Kto mógł, to uciekał. Kto został, ten czekał na ostateczny upadek.

Zmieniło się to po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Do miasteczka zaczęły spływać pieniądze i inwestycje. Z powrotem uruchomiono tartak. Jego właściciel, który dorobił się dzięki niewielkiej rodzinnej wytwórni mebli, wkrótce wykupił zabudowania dawnej fabryki mebli i wznowił jej pracę. Pojawiła się drobna przedsiębiorczość, otworzono kilka pensjonatów oraz restauracji. I tak rozpoczął się trzeci złoty wiek w historii Paśla. Może najmniej żywiołowy ze wszystkich, ale równocześnie najspokojniejszy. A mieszkańcy mogą szczerze powiedzieć, że pomimo tych szybciej biorących je we władanie nocy to dobre miejsce do życia.

Gdyby w jedną z tych długich nocy spojrzeć na Paśło z góry, można by zobaczyć spokojne, pogrążone w ciszy miasteczko. Uważny obserwator dostrzegłby jednak kilka osób, które wcale nie zamierzają kłaść się spać. I którym zasnąć nie pozwalają ostre szarpnięcia niepokoją, bólu, rozczarowania lub ekscytacji.

Pierwszą z tych osób byłaby kobieta zamieszkująca dwupokojowe mieszkanie na trzecim piętrze bloku na Osiedlu Dwudziestolecia. Wybudowano je dla pracowników miejscowych fabryk w drugim złoty okresie Paśla. Oczywiście przez lata skład mieszkańców mocno się zmienił. Teraz żyli tam przedstawiciele wszystkich możliwych zawodów – nauczyciele, prawnicy, lekarze, robotnicy, sprzątacze, urzędnicy. Samo osiedle cieszyło się zresztą dobrą opinią. Bloki stały przy ulicach Sosny, Lipy czy Buki. Nazwy zmieniono kilka lat temu. Ku niezadowoleniu mieszkańców, którym jednak wcale nie przeszkadzało mieszkanie przy ulicy generała Świerczewskiego i innych bohaterów Polski Ludowej – do zmiany nastawienia przekonała ich dopiero perspektywa wymiany dowodów osobistych.

Kobieta miała ponad czterdzieści lat. Była szczupłą, ale w jej sylwetce było coś niepokojącego. Jakby jej waga nie wynikała ze zdrowego stylu życia, tylko raczej z choroby. Świadczyła o tym choćby sama twarz, nie tyle blada, ile szara. Ziemista, pokryta drobnymi plamkami, które kiedyś może były uroczymi piegami, ale teraz wyglądały jak objawy niewłaściwie działającej wątroby.

Kobieta miała na sobie stary, niestarannie zawiązany szlafrok. Zupełnie jej nie przeszkadzało, że widać dekolt brudnej koszuli noc-

nej. Przeszła do kuchni. Otworzyła lodówkę i wyciągnęła otwartą już butelkę czerwonego wina. Sięgnęła do szafki nad głową i zamarła w połowie ruchu. Półka, która ją interesowała, okazała się pusta. Potrząsnęła głową i sprawdziła w zmywarce. Tam znalazła to, czego szukała. Cała jedna strona górnej szuflady wypełniona była kieliszkami do wina. Kobieta przez chwilę zastanawiała się, czy nie umyć jednego, ale wreszcie uznała, że szkoda wysiłku. Przecież nie było nikogo, kto by mógł to zobaczyć i docenić. Wzięła zwykłą szklankę, nalała do niej wina, wypijała zawartość duszkiem, a potem uzupełniła. Pustą butelkę ustawiła starannie pod zlewem obok rządka innych, obiecując sobie, że następnego dnia wyniesie je w końcu do kontenera. Może nie wszystkie naraz. Bała się, co by sąsiedzi pomyśleli, gdyby zobaczyli ją z tym całym szkłem. Dlatego weźmie dwie, góra trzy. Ale to jutro. Teraz wróciła ze szklanką do dużego pokoju, usiadła przy stole, wyciągnęła komórkę i uruchomiła Messengera. Przez chwilę tylko wpatrywała się w lśniący ekran telefonu. Pociągnęła łyk wina. Przełączyła profil. Teraz nie była już sobą, ale młodzientką, nastoletnią dziewczyną z Rzeszowa. Zaczęła pisać wiadomość, którą wkrótce wyśle do pewnego młodszego od niej o ponad dwadzieścia lat chłopaka.

Ten chłopak również mieszkał w Paśle, w zupełnie innej części miasta. Bliżej historycznego centrum, w dzielnicy, w której ciągle można znaleźć wybudowane podczas naftowego boomu wille właścicieli pól i firm zajmujących się wydobywaniem. Wiele z nich zostało zniszczonych podczas II wojny światowej, część wyburzono tuż po niej, ale sporo przetrwało. To właśnie w jednej z nich mieszkał – w rozległym, przysadzistym, jednopiętrowym budynku o dwóch tarasach, bogato zdobionej elewacji, czerwonym spadzistym dachu i znajdującej się z boku wieżyczce, która w zamierzeniu architektów miała zapewne upodobniać budynek do gotyckiego zamku.

Chłopak siedział przed komputerem w swoim pokoju na pierwszym piętrze. Było to spore pomieszczenie, wielkości salonu w więk-

szości nowoczesnych mieszkań, a jednak udało mu się tę przestrzeń zagrabić. Na podłodze leżały brudne i czyste rzeczy, liczne papierki, połamane długopisy, zużyte vape peny oraz kilka pustych puszek po napojach energetycznych. Pod ścianą stały dwa rowery. Jeden nowocześniejszy od drugiego. Z obu rzadko korzystał.

Chłopak grał, ale przestał, kiedy zobaczył, że przyszła do niego wiadomość. Otworzył ją i delikatnie się uśmiechnął. Napisała do niego dziewczyna z Rzeszowa. Korespondowali od kilku tygodni. Najpierw wślizgnęła się do grona jego znajomych, potem się odezwała, że gdzieś już niby się spotkali. Na koncercie lub czymś takim. Nie była to prawda, ale chłopak ochno się zgodził, bo dziewczyna była ładna. Sprawdził jej profil. Wydawał się w porządku. Znalazł ją też na Instagramie i TikToku. Na tym ostatnim mniej się udzielała. Choć miała sporo zdjęć i widać było, że jest aktywna w internecie od lat, coś mu tam nie grało. Nie potrafił jednak dokładnie powiedzieć co. Ostatecznie to zignorował, chociaż co pewien czas wracał do jej starszych zdjęć i nagrań i próbował rozgryźć, co jest z tą dziewczyną nie tak. Tym razem jednak postanowił się tym nie zadreć. Ściągnął słuchawki i wyłączył komputer, zupełnie nie przejmując się, że porzuca swoją drużynę, z którą spędził w grze ostatnie dwie godziny. Położył się na łóżku i otworzył Messengera.

„Hejka, co tam?”, napisała dziewczyna, dorzucając uśmiechniętą emotkę.

„Nic. Spokojny wieczorek”, odpisał. „Ale strasznie chce mi się ruchać. Popatrz”.

Opuścił spodnie, wykonał kilka ruchów ręką w okolicach krocza, a potem zrobił zdjęcie i wysłał.

„Patrz, jaki wielki”, ciągnął. „Wepchnąłbym ci go głęboko w usta. Chyba że masz jakieś inne pomysły. Co byś chciała z nim zrobić?”

A potem, czekając na odpowiedź, zaczął się masturbować.

Piętro niżej przed telewizorem siedział jego ojciec. Właściwie nie oglądał programu publicystycznego, który leciał na ekranie. Niespe-

cialnie go interesował. Potrzebował tylko jakiegoś dźwięku, żeby zagłuszyć ciszę. To dziwne. Jego dni wypełnione były zadaniami, obowiązkami, spotkaniami, problemami do rozwiązania, telefonicznymi rozmowami i odpowiadaniem na setki mejli. Zajmował się tym wszystkim sumiennie i najlepiej, jak potrafi. Czuł się bowiem odpowiedzialny zarówno za swoją firmę i jej pracowników, jak i w pewien sposób za całe miasto. Zdawał sobie sprawę, że od powodzenia jego biznesów zależy pomyślność mieszkańców Paśla. Nie chodziło przecież tylko o tartak i fabrykę mebli, ale także o wszystkie przedsiębiorstwa kooperujące, licznych dostawców, sklepy, w których jego pracownicy robili codzienne zakupy, i tak dalej, i tak dalej. Gdyby powinęła mu się noga, miasto natychmiast wróciłoby do mrocznych czasów lat dziewięćdziesiątych. Ta odpowiedzialność niekiedy bardzo mu ciążyła, ale głównie sprawiała ogromną przyjemność. Oznaczała bowiem, że jest kimś, z kim muszą się liczyć wszyscy w mieście. Radni, burmistrz, inni biznesmeni, a nawet lokalni posłowie w Warszawie. Bo wiedzieli, że może im albo bardzo pomóc, albo bardzo zaszkodzić.

Zasami stawał w swoim gabinecie przed lustrem, patrzył na swoje odbicie i zastanawiał się, czy jego ojciec byłby z niego dumny.

Niemniej przez większą część dnia marzył o powrocie do domu, by móc odpocząć w ciszy. Ale kiedy już w końcu tutaj docierał, potrzebował dźwięków, które wypełniłyby długie minuty wieczora aż do momentu, gdy będzie tak zmęczony, że pójdzie spać.

Program publicystyczny się skończył i zastąpiły go reklamy. Wtedy leżący na stole telefon zaczął wibrować. Telefon prywatny, a nie służbowy. Mimo to, gdy mężczyzna zerknął na wyświetlacz, wiedział, że rozmowa będzie dotyczyć spraw zawodowych. Miał za zasadę, że nie zajmuje się nimi po opuszczeniu biura. Poradziła mu to jego terapeutka. Mówiła, że dzięki temu łatwiej będzie mu zachować balans pomiędzy różnymi sferami życia. Generalnie stosował się do jej zaleceń, ta sprawa była jednak zbyt poważna i musiał złamać swoją zasadę. Sięgnął po telefon i odebrał.

– I co? Przyjąłeś?

– Nie było co przyjmować, bo ostatecznie facet nie złożył zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa.

Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając lekko poząłkłe zęby.

– Brawo! Zuch! Jak to załatwiłeś?

– Szczerze mówiąc? – Rozmówca wziął głęboki oddech. – Wystarczyło tylko powiedzieć mu prawdę. Że jeśli to faktycznie byli ukraińscy bandziorzy, to teraz szukaj wiatru w polu. Mogą być w Sano, Rzeszowie, Warszawie, Krakowie, a nawet u siebie, po drugiej stronie granicy. Takim jak oni raczej nie grozi pobór do wojska, więc mogą sobie skakać do nas na gościnne występy, a do siebie wracać na piełmieni. To go mocno zniechęciło.

– Ale pewnie jeszcze nie dawał za wygraną, co?

– Nie dawał.

– Padło moje nazwisko?

– Oczywiście, że tak. Trudno, żeby było inaczej.

– I co?

– Powiedziałem mu, że bez żadnych twardych dowodów trudno będzie to ruszyć. Oczywiście, możemy przyjąć zawiadomienie, nawet potem pójść, żeby zadać ci kilka pytań, ale przecież wiadomo, że zaprzeczysz wszystkiemu. Bez tych Ukraińców niczego nie zrobimy. A jak smród się rozejdzie, nie wiadomo, jak to się skończy. Bo przecież nie tylko on może stracić pracę, prawda? Urzędnicza posadka małżonki niby pewna, ale przecież burmistrz to twój znajomy.

Mężczyzna się skrzywił, przyciskając telefon do ucha. Nie lubił, kiedy tak wprost powoływano się na jego wpływy. Chciał, żeby ludzie zdawali sobie z nich sprawę, ale niekoniecznie należało o tym mówić głośno.

– Tak mu powiedziałeś? – zapytał.

– Zasugerowałem, a resztę sam sobie dopowiedział. Odszedł ze zwieszonym nochem i lekkim wkurwem, ale raczej już nie będziesz mieć z nim kłopotów.

– Mam nadzieję, że masz rację. Nie chciałbym po raz kolejny dzwonić po naszych przyjaciół ze Wschodu.

– To są twoi przyjaciele – odezwał się nadzwyczaj ostro rozmówca. – Nie moi. To jedna sprawa. A druga, że już tak dłużej nie możesz. To nie są lata dziewięćdziesiąte. Nie dwutysięczne nawet. Świat się zmienił. Polska się zmieniła.

– A Pasło wciąż stoi moim zakładem.

– Tak. Tylko że młodzi w nim nie chcą pracować. Nawet nie zerkają w jego stronę. Od razu wyjeżdżają do Rzeszowa albo i dalej.

Mężczyzna prychnął.

– Niech sobie jadą. Już mam w zakładzie prawie połowę załogi z zagranicy. Jak będzie trzeba, to sobie drugą połowę ściągnę. Bo dobrze robią, mało im płacę i wiesz co? Żadnemu nie wpadnie do pojebanego łba, żeby związek zawodowy zakładać.

– To się prędzej czy później stanie.

– Bo? Nagle im się wyższych pensji zachciało i jakichś inspekcji bezpieczeństwa? To jest tartak. Kiedyś ludzie wiedzieli, że jak idą do tartaku pracować, to bez palców wracają.

– Po prostu mówię, że świat się zmienia. I pewnego dnia...

– Pewnego dnia będziesz musiał po prostu bardziej się postarać. – Mężczyzna nie pozwolił mu dokończyć i natychmiast się rozłączył.

Potem odłożył telefon na stolik obok i przez chwilę przypatrywał się migającym na ekranie telewizora reklamom. Może świat rzeczywiście się zmieniał. Może faktycznie kiedyś będzie musiał się do niego dostosować. Pewnie to zrobi. Jest elastyczny, potrafi planować, rozumie też, że nie warto się kopać z koniem. Wie również, że pewne rzeczy w życiu pozostają niezmiennie. I jedną z nich jest to, że to on rządzi w Paśle.

Przenosimy się kilka kilometrów dalej. Pasło nie jest wielkim miasteczkiem. Mieszka w nim niewiele ponad dziesięć tysięcy osób, ale mało tutaj miejsca na rozbudowę na szerokość. Przeszkadzają

w tym płynąca przez centrum rzeka i góry. Miasto ciągnie się więc obiema dolinami niczym czteroramienna rozgwiazda. Blisko jego północnego krańca, przy drodze wyjazdowej na Sanok, stoją obok siebie domki jednorodzinne. Większość z nich pochodzi z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy budowali się tutaj ci, którzy w jakiś sposób zdobyli na to pieniądze. Domy są do siebie bardzo podobne – kwadratowe, jednopiętrowe klocki, z których część zyskała trochę uroku dzięki nowym elewacjom. W okolicy da się jednak znaleźć i ponadstuletnie drewniane chaty oraz nowo wybudowane wille o białych ścianach i z panelami słonecznymi na dachach.

Mężczyzna, który zakończył właśnie rozmowę telefoniczną z właścicielem tartaku, mieszkał w domu z lat siedemdziesiątych, odnowionym całkiem niedawno i z dużym wysiłkiem finansowym. Wcześniej parter zajmowali jego teściowie, dopóki nie zmarli – ona pięć, a on dwa lata temu, wciąż jednak nie przyzwyczał się do tego, że ma teraz do dyspozycji tyle przestrzeni. Szczególnie że był tutaj sam z żoną. Dzieci wyjechały z Paśla. Syn do Warszawy, gdzie skończył studia i pracował. Córka natomiast do Krakowa, w którym po raz kolejny zmieniała właśnie kierunek na uczelni. Podobnie zresztą jak samą uczelnię. To właśnie z ich powodu mężczyzna rozmawiał z samozwańczym i faktycznym władcą Paśla. Już dawno podjął decyzję, że zrobi wszystko, żeby jego dzieci nie musiały spędzić życia w tym mieście. Chciał im zapewnić możliwości, których sam nie miał. Ciężko to jednak zrobić z jednej policyjnej pensji. Dlatego od lat wyświadczał dodatkowe przysługi. Raz w miesiącu w podziękowaniu dostawał wypełnione banknotami koperty, które natychmiast wędrowały do jego córki i syna. Ten bowiem co prawda na siebie zarabiał, ale ceny wynajmu w Warszawie były tak absurdalnie wysokie, że wciąż potrzebował wsparcia. Był przy tym ambitny i zawsze, gdy odbierał pieniądze bezpośrednio od ojca, wydawał się tym zawstydzony. Dlatego mężczyzna przestał mu je wręczać, kiedy się widywali te kilka razy w roku. Wysyłał po prostu kasę do paczkomatu.

Policjant sięgnął po stojącą nieopodal szklanke, wypełnioną do połowy sokiem pomidorowym obficie posypanym pieprzem. To od lat był jego wieczorny drink. Właściwie nie pił alkoholu. Nie był abstynentem, nigdy nie miał też problemu z mocnymi trunkami, ale już lata temu zauważył, że chociaż warunki pracy w policji się zmieniły i pewne zachowania, kiedyś normalne, teraz stały się niedopuszczalne, to wciąż dla wielu jego kolegów i koleżanek drink lub piwo – a najlepiej kilka – wieczorem oznaczały najlepszy sposób na wyciszenie się po robocie. Pasło może nie było podkarpacką stolicą zbrodni, ale jak każdy policjant mężczyzna napatrzył się już na rzeczy, których wolałby nie widzieć: maltretowane zwierzęta domowe, zaniedbane dzieci, pobite przez mężów kobiety, zapłakane dziewczyny zgłaszające gwałt, a następnego dnia ze wszystkiego się wycofujące, ofiary wypadków drogowych i wiele, wiele innych. A on z biegiem lat wcale nie twardniał, tylko stawał się coraz bardziej wrażliwy. Jakby te wszystkie straszne rzeczy, z którymi się zetknął, odkładały się jak złogi w jego organizmie, zamiast z czasem się z niego wypłukiwać. Dlatego wciąż obawiał się, że mógłby odrobinę za bardzo zaprzyjaźnić się z alkoholem. W pewnym momencie zastanawiał się nawet nad odejściem ze służby. Powstrzymało go jednak poczucie odpowiedzialności za dzieci. Powtarzał sobie, że musi wytrzymać jeszcze kilka lat. Dopóki oboje nie staną na nogi.

– Wszystko w porządku?

Odwrócił się. W progu pokoju, który kiedyś był sypialnią teściów, stała jego żona w nocnej koszuli sięgającej kostek i ozdobionej falbankami. To był prosty strój, zakrywający niemal całe ciało, do tego mocno znoszony i mężczyźnie wydawało się, że bawełniana koszula ma już około dwudziestu lat. Niemniej, kiedy patrzył na kobietę, robiło mu się ciepło na sercu. Mimowolnie spłynęły na niego dwa uczucia. Wdzięczność za spędzone z nią lata i wszystko, co udało im się osiągnąć, oraz pożądanie. Jego żona nie była najpiękniejszą kobietą na świecie, w każdej chwili mógłby wymienić liczne mankamenty jej

urody, poczynając od lekkiej nadwagi, jednak od dnia ich ślubu nie poczuł nic do żadnej innej kobiety, choć nie było w tym żadnej jego zasługi. Jego żona wciąż była jedyną, której ciała pragnął.

– Tak. Po prostu... jeszcze pracowe sprawy – powiedział.

– Powinieneś je zostawiać na komisariacie.

– Wiesz, że tak się nie da.

Uśmiechnęła się lekko, podeszła do niego i zerknęła na drinka w jego dłoni. Znała zwyczaj męża, choć pewnie podejrzewała, że do soku pomidorowego dolewa sobie wódki. Nigdy nie wyprowadził jej z tego błędu. Trochę dlatego, że go to bawiło, a trochę dlatego, że jej troska o niego sprawiała mu przyjemność.

– Są szczęściarzami, że cię tam mają – powiedziała.

– Są – zgodził się z nią.

– Mam nadzieję, że o tym wiedzą.

Cmoknęła go w policzek, a on poczuł, jak przyjemny prąd przechodzi mu wzdłuż pleców.

– Niestety, myślę, że zauważą to dopiero, kiedy odejdę – odparł.

Przytuliła się do niego. Ciepło jej ciała podziałało na niego kojąco. Prawie udało mu się zapomnieć o tym, co dzisiaj zrobił. I jak za pieniądze miejscowego bogacza pomógł mu ukryć brutalne zastraszenie porządnego człowieka, kogoś, komu zależało tylko na tym, żeby jego miejsce pracy było odrobinę bezpieczniejsze. Nie pierwsza przysługa, jaką mu wyświadczył. Nie ostatnia. I na pewno nie najbardziej obrzydliwa. W jego głowie pojawił się obraz zapłakanej dziewczyny, z którą bardzo długo rozmawiał o tym, że jeśli pewnych rzeczy nie jest na sto procent pewna, jeśli ich do końca nie pamięta, jeśli nie ma dowodów, to lepiej tego nie rozgrzebywać. Dla jej dobra. W końcu się zgodziła. Po jej wyjściu zwymiotował do stojącego obok śmietnika. Nie zdążył nawet pobiec do toalety. Ale dlatego właśnie chciał, żeby jego dzieci stąd wyjechały. Żeby ich los i szczęście nie zależały od tego, czy ich ścieżki przetną się z autostradą, po której pędzi w swoim luksusowym Volvo właściciel miejscowego tartaku. Żył

z nadzieją, może płonną, że w Krakowie czy Warszawie wygląda to trochę inaczej.

Żona znów go pocałowała, a potem zostawiła samego z sokiem pomidorowym. Wypił go duszkiem, myśląc tylko o tym, że teraz przydałoby mu się coś mocniejszego. Nie ze względu na rozmowę, jaką przed chwilą odbył, tylko ze względu na jego największą obawę – że kiedyś wyjdzie na jaw, jak naprawdę zarabia pieniądze. Nieważne, że wszystkie przeznaczą na dzieci. Nawet złotówki nie wydaje dla siebie. Wiedział, że ona by tego nie zrozumiała. Mógłby ją zdradzić, wielokrotnie, i jakoś by się po tym pozbierała, ale tego by mu nie wybaczala. Za to też ją kochał.

Wiedział, że kiedy przyjdzie do sypialni, żona będzie spać z twarzą wtuloną nie w poduszkę, ale w kolejny kryminał Mroza. On jednak potrzebował jeszcze chwili dla siebie, żeby wyczyścić głowę.

Usiadł w fotelu, w którym kilka lat temu siedział jego teść. Zgasił światło i trwał w tej ciemności. Czekał, aż wróci do niego spokój. Jednak zamiast tego w tajemniczy sposób jego myśli powędrowały w stronę innego mieszkańca Pasła. Człowieka, którego mało kto kojarzył, ale który również wręczał policjantowi koperty z pieniędzmi. Może nie tak wypchane jak te od właściciela tartaku, ale przynajmniej tak nie śmierdziały.

Policjant, myśląc o nim, wypił ostatni łyk soku pomidorowego.

Tamten człowiek mieszkał na przeciwnym końcu miasta, daleko na południu. Na jego absolutnym skraju, gdzie dolina zwęża się tak bardzo, że właściwie zanika. Niektórzy nawet zastanawiają się, czy to jeszcze jest Pasło. Stoją tam nieliczne domy, a większość mieszkańców to starzy ludzie, którzy z uporem godnym lepszej sprawy obrabiają niewielkie, wyrwane górą i dające marne plony poletka. To dzikie miejsce, głównie są tam lasy. Mroczne i stare. Z jakiegoś powodu nie wycięli ich górnicy z początku wieku, żądni drewna do budowy szybów naftowych. Również Niemcy, którzy wszędzie dookoła prowadzili rabunkową gospodarkę, je oszczędzili.

Tak samo wyglądało to i teraz – do tartaku sprowadzano wyłącznie pnie drzew z innych miejsc, nawet z daleka, byleby nie ruszać tego lasu. I to pomimo tego, że nie było tam żadnego parku narodowego ani rezerwatu. Jakby pracownicy Lasów Państwowych instynktownie wyczuwali, że od tego miejsca lepiej trzymać się z daleka.

To właśnie tam, na samym krańcu miasteczka, stał samotny dom. Wybudowany z drewna, udający starszy niż w rzeczywistości. Mieszkał w nim samotny mężczyzna z młodą dziewczyną, którą kiedyś nazywał córką. Ona jednak nigdy nie nazwała go ojcem.

W Paśle noc zawsze zapadała odrobinę szybciej i trwała odrobinę dłużej. Ale ciemność wokół tego domu była inna niż w miasteczku. Jakby straszniejsza. Jakby bardziej gęsta. Jakby tylko czekała, żeby go pochłonąć.